



Przedpłata w miejscu i dla abonentów „Dziennika Lwow.”

rocznie	3 zlr. — ct.
półrocznie	4 „ — „
ćwierćrocznie	2 „ — „
Pojedynczy numer	— „ 20 „

Nr. 11.

22. Grudnia 1867.

Dla prenumerujących z osobną przesyłką pocztową

rocznie	8 zlr. 30 ct.
półrocznie	4 „ 30 „
ćwierćrocznie	2 „ 15 „
W w. ks. Poznańskiem ćwierćroc.	1 tal. 15 sgr.
We Francji ćwierćrocznie	6 franków.

M. Czajkowski.

(Sadyk Pasza).

(Ciąg dalszy).

Kozacy Dobrudzcy, zamieszkujący Dobrudzę, są także potomkami wychodźców z głębi Rosji, z Nowogrodu i z Pskowa; później przyłączyli się do nich mieszkańcy Czernichowskiej i Smoleńskiej gubernji, a nawet samej Moskwy. Zasłyszeli oni o istnieniu osad Nekrasowskich pod panowaniem tureckim, o ich swobodzie, przywilejach, tolerancji religijnej i umknęli z pod prześladowania moskiewskiego rządu, aby pospieszyć pod wojenne skrzydło tej osady kozackiej i obok niej pędzić życie spokojne i wyznawać wiarę swoich przodków.

Historja i byt wojsk Dobrudzkich kozaków, zaczyna się r. 1809; zawezwani na wojnę, postawili kilka sotni kozaków konnych pod dowództwem oficerów Nekrasowskich.

Roku 1853 wyszło rozporządzenie sultańskie, które oddawało kozaków Dobrudzkich pod naczelne dowództwo M. Czajkowskiego. Lecz gdy Czajkowski przybył do Szumli, aby rekwirować kozaków, nie znalazł ani jednego ochotnika i dopiero pojedynczo, po kilku, ścigał ich z rozmaitych miejsc, bez koni, bez broni i bez najmniejszej dyscypliny. Zaledwo po długich trudnościach udało się nowemu do-



Kozak Dobrudzki. Nekrasowski. Starowierzec.

wódcy zorganizować dwie sotnie kozaków, uzbroił ich, zaprowadził surowe prawa dyscyplinarne i wkrótce je uporządkowawszy, oddał pod komendę Beja Luboradzkiego, Mahmuda Muchę i Jana Piotrowskiego.

Lipowanie, są to Starowiercy, Roskolnicy, Skopcy i inni sektarze, których prześladowania religijne wyгнаły z Moskwy i zapędziły do Turcji i Wołoszy. Organizacja ich wojskowa jest na wzór Nekrasowców; Lipowańskie osady znajdują się w Dobrudży, w okolicach Hirsowy, nad Dunajem, niedaleko Sylistriji i w Tulezy. Wszyscy prawie trudnią się handlem i spekulacjami; kozaków zaś do wojska dostarczają w taki sposób, że kilka domów robi składkę pieniężną na najem człowieka, jego umundurowanie, kupno konia, siodła i żold; dostawienie zaś kozaków odbywa się przez licytację

po wsiach. Biedniejsi sami idą w najem i z tych robią dziesiętników, a nawet starszynę.

Do r. 1845 mieli oni swoich arcybiskupów i biskupów i całą kościelną hierarchię w państwie moskiewskim. Starowiercy zamieszkali w Turcji, Multanach, Wołoszy i Galicji, albo wyświęcali swoich duchownych w Moskwie, albo też brali z tamąd duchownych już wy-

święconych. Car Mikołaj, który chciał wyznanie starowerskie zniszczyć, wydał rozkaz, kasując wszystkich biskupów i arcybiskupów wyznania starowerskiego i nie pozwolił biskupom błahocznym święcić na duchownych wyznania starowerskiego, skasował wszystkie monasteria starowerskie, a mnichów kazał zabrać w saldaty i utworzył z nich pułk liniowych kozaków.

Wtedy to dwóch mnichów z monasteru w Białokrynicy na Bukowinie, udali się do Adampola, osady polskiej, założonej przez Czajkowskiego nad brzegami Bosforu i zasiągnąwszy tam rady, co czynić wypada wśród takiego prześladowania, postanowili stworzyć w Austrii lub Turcji biskupów starowerskiego wyznania. Mnichy Paweł i Opimpiusz udali się do Wiednia i wyjednali, że Austrija każdego biskupa greckiego wyznania, któryby się oświadczył, że przechodzi na starowerskie wyznanie, przyjmie w swoim kraju jako biskupa starowierców. Tym sposobem arcybiskup w Białejkrynicy wyświęcił wbrew zakazowi cara Mikołaja przeszło 2.000 duchownych na państwo moskiewskie. Ztąd też pochodzi, że Starowiercy w Rosji jedni są Moskale, którzy nam Polakom sprzyjają i kiedyś mogą podać dłoń bratnią.

Cały zamach cara Mikołaja na zniszczenie starowerskie wyznania, został udaremniiony, a nowa dodana została otucha ośmiu milionom Starowierców państwa moskiewskiego.

Skreśliwszy po krótko dzieje kozaków moskiewskich — którzy zarówno jak emigracja polska do Francji — oni przeszli do Turcji wracamy do Czajkowskiego. Aby dobitniej ucharakteryzować jego cele i dążności, przytoczę wyimek z jego monografii:

„Lat trzydzieści z górą upłynęło, jak opuściłem dom rodzinny i ziemię rodzinną. W spuściźnie po matce, po dziadku, odziedziczyłem myśl o kozaczyźnie i nie mogąc władać szablą, którą włożyłem do pochwy, pisałem powieści kozackie. Naśmiewali się ze mnie Ostrowski i Ruplewski — ale drukowali i wydawali, i moje marzenia przeobrażały się w teorię, w system, którego ja byłem twórcą, a musiałem być wykonawcą. Rzuciłem w świat polski powieści kozackie: *Wernyhore, Ukrainkę, Hetmana Ukrainy* i inne pisma tego samego ducha, dążące do tego samego celu i po tym moim programie udałem się na wschód. Przybyłem między kozaków Ukrainy, Zaporozża i Donu i marzenie przybierało postać rzeczywistości.“

W tych kilku słowach dobitnie wyjaśnia Czajkowski swoje dążności względem Polski przez kozaczyznę. Myśl ta przebija się we wszystkich pismach jego — on marzy bezustannie o Polsce jako o państwie pierwszorzędnym, a jej zbawców pragnie mieć w kozakach, uważając ich za najbitniejszy lud w Słowiańszczyźnie, za prawnych rycerzy, kochających wspólną matkę Polszcę.

Jedynych i prawdziwych sprzymierzeńców Polski upatruje Czajkowski we Francji, a jeszcze więcej w Turcji i kozaczyźnie. W tych ostatnich jako ludzie Małoruskim, wskazuje najwydatniejszą ich samodzielności cechę, od historyków przeoczoną.

Jest wielu, którzy te jego zapatrywania uważali za mrzonki, za chimery, jednak Czajkowski dążąc do raz wytkniętego celu, osiągnął go po części, zostawiając następcom skuteczenie zamierzonego dzieła.

Było to r. 1853 w miesiącu sierpniu po wydaniu wojny Moskwy przez Portę, że wskutek zabiegów Czajkowskiego rząd tutecki zażądał od Adama Czartoryskiego przysłania czterech wyższych oficerów z dawnego wojska polskiego do służby ottomańskiej, a to generała Chrzanowskiego, pułkowników Karola Różyckiego, Władysława Zamojskiego i Ludwika Bystrzanowskiego, ofiarując pierwszemu stopień generała dywizji, trzem innym stopnie generałów brygady.

Załączywszy dwadzieścia cztery tysiące franków na koszt podróży tych oficerów, domagała się Porta jak najrychlejszego ich przyjazdu.

Wówczas nie było jeszcze ani jednego cudzoziemca w służbie wojskowej tureckiej.

Minister wojny, szwagier Sułtana, przeznaczył użycie generałów polskich w następujący sposób: Chrzanowskiemu miano oddać naczelne dowództwo nad 40.000 korpusem; Zamojski miał być szefem sztabu u Omera Paszy, Bystrzanowski w sztabie Abdy-Paszy, Różyckiemu zaś chciano powierzyć organizację i dowództwo Kozaków.

Upływały tygodnie i miesiące, a generałowie polscy nie przybywali; trudno było wytłómaczyć sobie powody tej niechęci i wahanía, które spowodowały Portę, że zawezwała oficerów angielskich i francuzkich, którzy natychmiast pospieszyli na plac boju. (D. n.)

Urywek z czyjegoś pamiętnika

znaleziony przez

T. T. J(eża).

III.

(Dokończenie).

Stary dąb stał na górze w oddaleniu paru staj od jareckiego dworu. Szerokie konary wypuścił równoległe do ziemi i sformował około siebie namiot z gałęzi i liści, pod którym zwalone wpół spruchniałe drzewo, służyło za ławkę do siedzenia. Las do koła był rzadki. Kilka ścieżek z różnych stron ześrodkowywało się pod tym patryarchą dębów.

Znałem go. O! ileż to razy siadywałem pod nim z Handzią i prowadziłem z nią rozmowę — na przykład — o najświeższym zbytku jej najmłodszego braciszka, lub o ilości jaj, które niesie czubata kurka. Nie najciekawsze wspomnienie!... Lecz oto, wspomnienie... miało się narodzić. Do tego przyszłego wspomnienia rwało się głośno bijące moje serce.

Gdy dojeżdżałem, siwek mój zarżał. Odpowiedziało mu rżenie. Ściągnąłem cugle i zatrzymałem się zdziwiony. Rżenia powtórzyły się w różnych stronach lasu, rozbijające się po parowach i wadłach. Zaśmiałem się sam z siebie.

O paręset kroków zsiadłem z konia i uwiązałem go u drzewa.

— Może ona już jest... — pomyślałem. — Może czeka... Toż by się zlekła, gdybym nagle koniem najechał...

Poszedłem dalej piechotą, kroczyłem cicho, na palcach, jakbym się skradł do płochliwego ptaka. Szemranie liści lekkim podmuchem ruszanych i szum potoku, który płynął w głębi jaru, głuszyły moje kroki. Podszedłem pod sam dąb. Jej nie było. Wpatrując się jednakże i ciemność oczami do koła badając, dojrzałem, że na zwałonem drzewie ktoś siedział — ktoś, kogo zrazu wziąłem za odrostek drzewa. Łokcie oparł na kolanach i twarz w dłonie schował — i siedział nieruchomie jak pień.

— Masz go!... — powiedziałem do siebie w duchu. — Trzebaż takiego zdarzenia, ażeby w takim odludnem miejscu i o tej porze, trafił się niepotrzebny świadek... Zapewne to jakiś pobereźnik... Cóż tu robić?...

Chciałem już puścić się ścieżką do dworku prowadzącą i spotkawszy na niej Handzię, uprzedzić ją, że pod starym dębem ktoś siedzi, gdy w tem ów ktoś, jakby myśl moją zgadł, podniósł głowę, obejrzał się i ku mnie się zwróciwszy, nie ruszając się z miejsca, rzekł:

— Niech pan trochę poczeka... Koguty tylko co pjały... Panna Hanna nie widać jak przyjdzie...

Skamieniałem ze zdumienia. Nie wiedziałem co myśleć, co przypuszczać. Wytężyłem wszystkie władze umysłowe, jakie Opatrzność dała na moje rozporządzenie i nie mogłem znaleźć odpowiedzi na za pytanie, które w monstualnej jakiejś postaci przed oczyma mi stanęło.

— Co to jest?...

W głowie mi szumiało, w uszach bębniło. Stałem jak wryty — niby żona Lota w słup solny zmieniona — i oddech w sobie zapałem.

Zdawało się mi, że nieznajomy chce jeszcze coś powiedzieć. On jednakże, po wymówieniu ostatniego wyrazu, znów spuścił czoło pomiędzy dłonie i zamilkł.

W niedającym się opisać, ani opowiedzieć niepokoju, upłynęło mi kilka następnych chwil. Zdumienie, gniew, żal rozpacz wdarły się razem w moją pierś i zagospodarowały w niej, jak wichry w wąwozie. Zapytania: co to jest? co to będzie? jak się to zacznie? jak się skończy? — rozpierały mi czaszkę, świdrowały w mózgu i w głębi duszy mojej huczały jakimś szatańskim chychotem. Zdawało się mi,

że jestem pokrzywdzony i wysmiany — okradziony, obdarty i na durnia wystrychnięty.

Nie wyglądało bo to na boleśną obelgę, na szatańskie szyderstwo, wezwać mnie na schadzke i na tę samą schadzke wezwać jeszcze kogoś?...

To bowiem rozumiałem, że ten ktoś był wezwanym. Poznałem to z jego słów:

— Koguty tylko co pjały... Panna Hanna nie widać jak przyjdzie. Cóż to za jeden — ten ktoś?...

Głos jego nie był mi obcym. Nie po raz pierwszy w życiu obil się mi o uszy. Słyszałem go kiedyś... gdzieś; ale kiedy? gdzie?

W tem nagle, kiedy głowa mi pękła pod nawalem łączących się w nią zapytań, nieznajomy wstał, wyprostował się i rzekł:

— O... idzie...

Wraz z temi wyrazami usłyszałem szelest suchych liści i martwych gałązek, łamiących się pod szybkim chodem.

W chwilę potem ujrzałem przed sobą Handzię.

Gdyby nieobecność tego tajemniczego ktosia, mógłbym zapewne opisać Handzię w chwili przyjścia jej pod stary dąb. Mógłbym powiedzieć jak była ubrana i jak wyglądała. Rozumie się, wyobrażenia moja w połowie dopełnić by musiała to, co cienie nocy oczom wykradały. Postać jej przy bladym blasku gwiazd, których promienie przez konary się przedzierały, byłaby na mnie zrobiła wrażenie, które uwydatniły by się dla moich wspomnień. Niezawodnie, zachwycającem być musiało to śliczne dziewczę, w tajemniczym, rozkosznym, cichej, wonnej, wiosenej nocy otoczeniu. Tak ją sobie dziś, na zimno, po upływie kilku lat wyobrażam. Wówczas jednakże... nawet jej nie widziałem. Czy patrzałem na nią? — nie pamiętam. Całą uwagę moją, pochłonął zagadkowy człowiek, w którym, gdy się podniósł ze zwalonego drzewa i wyprostował, poznałem młodzieńca, widzianego raz w życiu na jarmarku w K., na gniadym ogierku.

Zaśmiałem się głośno.

Był to śmiech sercowy — śmiech żalu, boleści, zazdrości, zawiedzionych nadziei, rozprysniętych rojeń. Wydarł się on z mojej piersi, pomimo woli. Nie byłem w stanie stłumić go w sobie.

Śnać jednakże młody nieznajomy w innym go wziął znaczeniu bo ponurym odezwał się głosem:

— Nie przyszedłem ja tu na śmiechy... Chcę pomówić z panem serjo, w przypuszczeniu, żeś pan człowiek uczciwy i... szlachetny... Na ostatnim wyrazie oparł akcent.

W tej chwili usłyszałem ciche łkanie Handzi.

— Czy pozwalasz pan mówić z sobą serjo?... — zapytał po chwili.

— Mów pan... — odparłem.

Głos, którym te wyrazy wymówiłem, musiał zapewne w młodym człowieku wzbudzić pewną ufność, bo nie z tego już co śmiech wypłynął źródła. Zaszła we mnie nagle jakaś zmiana, z której sobie dziś nawet sprawy zdać nie umiem.

— Mów... — powtórzyłem.

— Nie będę pana długo nudził... — odezwał się młodzieniec, podchodząc ku mnie. — Pan kochasz p. Handzię... i ja ją kocham...

Tu urwał, chrząknął i głęboko odetchnął.

— Ale ona kocha nie pana a mnie... — ciągnął dalej. — Mieliśmy się pobrać, kiedy pan nam w drogę wszedłeś... Ona gotowa jest pójść za pana, bo taką jest wola jej ojca... Do tego przyjść musi... Pan Dubyna nie będzie już czekał, aż się pan sam o rękę jego córki oświadczysz... Czas nagli, chcę skończyć jak najprędzej, za pierwszym z panem spotkaniem... Jest to postanowienie niezłomne, dla którego od pierwszej pańskiej w Jarach wizyty zabronionym mi został wstęp... Ja się temu nie dziwiłem i nie dziwię... Ojcu chodzi o zapewnienie dziecku losu, który widzi w pańskiej miłości i pańskim majątku... Pan bogaty, ja ubogi; pan posiadasz dobra i kapitały, ja służę i na chleb z dnia na dzień zarabiam; pan otoczysz żonę dostatkiem i zbytkiem, u mnie musiałaby ciężko pracować...

Tu znów odetchnął, jakby dla nabrania powietrza w płuca.

— Ale ona mnie kocha...

Po chwili milczenia znów dalej mówił:

— Przez cały czas bywania pańskiego w Jarach, ani ukradkiem anwet tam nie zajrzałem... Zdaleka tylko, przez trzecią osobę, przez

tego pobereznika co to panu drogę pokazał, dowiadywałem się, czy mnie ona kochać nie przestała... Gdyby była przestała, nie byłbyś mnie pan dziś tu widział... Ale, że kocha, pomyślałem sobie, że pomimo pańskich dostatków i zbytków, nie będzie z panem szczęśliwą... chciałem przeto z panem się zejść i w przytomności panny Hanny powiedzieć to co powiedziałem, z tym dodatkiem..

W tem miejscu wyrazy jego dziwnie uroczystym zabrzmiały tonem:

— Że ja idę... bić się... za ojczyznę!... Teraz więc, rób pan, co chcesz... Jeżeli miłość, jak panu Dubynie, wydaje się panu błazństwem, bierz pannę Handzię, uszczęśliw ją swoim imieniem, swoim majątkiem... Pan nie idziesz do powstania... Ja się usunę tak czy owak... Mnie nie zatrzyma nawet ona... Ja się usunę... daleko... na wieki... może zginę... a choćbym nie zginął, nie będę wam przeszkadzał... Bądźcie szczęśliwi... Niech wam Pan Bóg błogosławi...

Ostatnie wyrazy nabrzmiały były głębokim wzruszeniem.

Przez cały ciąg mówienia młodego człowieka, Handzia cicho łkała. Przy ostatnich wyrazach, jęknęła, jakby bolem z głębi piersi. Po jęknięciu łkanie ustało; dziewczę ujęło kochanka za rękę i popłynęły jej z ust wyrazy, mówione głosem silnym i pewnym. Każdy z tych wyrazów wyrzył mi się w pamięci.

— Zostanę pańską żoną; ojciec tego chce... Oddam panu rękę, ale nie oddam ani serca ani szacunku... serce moje należy do niego; odebrać mu je a dać panu nie mogę, bo to nie jest w mojej mocy; a szanować nie jestem w stanie człowieka, nie pełniącego obowiązków względem ojczyzny... Bierz mnie pan, będę żoną uległą i posłuszną, bo tylko uległość i posłuszeństwo poprowadzą mnie przed ołtarz... Miałam sobie za obowiązek sumienia uprzedzić pana o tem... o tem szczególnie, że potrafiłabym sercu nakazać milczenie i zrobić z niego ofiarę dla ojca, gdybym mogła mieć dla pana szacunek.

Zamilkła. Po chwili milczenia jeszcze parę słów dorzuciła:

— Za niego zapewne nie wyjdę... On idzie bić się... idzie... czy wróci?... Ale niech idzie, nie będę go zatrzymywała, bo bym sobą sama pogardziła...

Wszystkie uczucia, jakie we mnie przed chwilą huczały, ustąpiły miejsca wstydomi. Upokorzenie przygniotło mnie do ziemi. Nie byłem w stanie zdobyć się na wymówienie jednego wyrazu. Głowę spuściłem i oddechać nie śmiałem, bo zdawało się mi, że oddechanie, wydzierając się z rykiem z moich ust, wygłasza wyraz płomieniejący na mojem czole:

— Bezczelny...

Czułem tylko wewnętrzną, gwałtowną potrzebę ekspijacji, jakbym popełnił ciężki, śmiertelny grzech. Stęknąłem i, padłszy do nóg młodemu człowiekowi, zawołałem:

— Weź mnie z sobą do powstania!... Weź!...

(Przypisek wydawcy). Na tem urywa się pamiętnik. Autor onego musiał być w powstaniu. Przypuszczenie to opieram na tem, iż urywek powyższy znalazłem w Paryżu pomiędzy szpargałami, w których było parę wzmianek o Miropolu i Salisze.

Kościół św. Anny we Lwowie.

Podanie mieszczańskie

przez

Karola Widmana.

Każdy gmach dawniejszy przemawia do nas jakimś słowem, którego my wszakże najczęściej nie rozumiemy.

Trzeba dopiero mozolnych i suchych poszukiwań po starych archiwach i kronikach, aby się domysleć ich znaczenia. Ale tylko domysleć się; rzeczywiście rozwiązać tę zagadkę, którą nam zadaje każdy dawny gmach:

— Odgadnij, jakim burzom życia zawdzięczam mój początek?

Możnaby tylko, gdyby nam się poprzednie pokolenia chciały i mogły spowiadać ze swoich uczuć i czynów. A takich spowiedzi jest nadzwyczaj mało. Są niemi czasem jakies pamiętniki, czasem przy-

padkowo zapisane uwagi, ale wszystko to są drogoskazy w pustyni, które nam nigdy od razu całego widoku jasno nieodsłonią.

Badanie tych źródeł jest zajmujące, ale nigdy tak uroczę, jak owo nadsluchiwanie tego, co nam żywe słowo podawane z dziada na wnuka z dawnych czasów przynosi. Podanie przekazuje nam część owych wzruszeń, owych zapałów, roskoszy i bólów, których współcześni doznawali. Przelewano uczucie z serca do serca, myśl z umysłu do umysłu. Przechowujemy je jakoby światło podawane z ręki do ręki, a przebywające tym sposobem wielkie przestrzenie; światło to uświetnia najniepozorniejsze pomniki przeszłości często uroczą aureolą.

Takim pomnikiem jest kościół św. Anny we Lwowie.

Kronikarze miasta donoszą krótko i sucho, że kościół ten został założony przez mistrzów krawieckich na pamiątkę cudownego uratowania ich od śmierci w boju ze strażą miejską, którą przebyli będąc jeszcze czeladnikami, a w której kilku towarzyszków było poległo.

Podanie jednak przechowało nam szczegóły zdarzeń, które to założenie poprzedziły.

Upływa właśnie czwarty wiek od czasu, kiedy Lwów należał do najświetniejszych miast w Polsce, i kiedy mieszczaństwo tego miasta znajdowało się nie tylko w kwiecie zamożności i znaczenia w świecie handlowym i przemysłowym Europy, ale w kwiecie potęgi swojej w samym mieście. Był Lwów sam w sobie małą Rzeczpospolitą. Radni z burmistrzami na czele, obierani corocznie z mieszczaństwa stanowili najwyższą jego władzę. Miał Lwów stosunki handlowe z Wschodem i Zachodem, Grecją i Turcją przesyłały tędy swoje towary dla krajów północno-zachodnich; Wenecja zbywała tu swoje szkła, klejnoty i złotnicze wyroby; Genua i Florencja bogate plody całego Południa; Marsylja zasoby swojej przystani. Obywatelstwo lwowskie skoligacało się z patrycjuszami tych stolic przemysłowych; synowie tutejsi przywozili z tamtąd małżonki, a tamtejszych patrycjuszów synowie żenili się i osiadali we Lwowie. Lwów był miastem, co dziś nazywamy europejskim. Rodziny Ubaldinich, Signiów, Mercenierów, Longchamps'ów znajdowały tu drugą ojczyznę, a Jęlonkowie, Wilczkowie, Ziętkiewiczowie byli w pobratymstwie z patrycjuszami Wenecji, Genuy, Florencji i t. d.

W tem mieście tedy tak świetnym pod względem bogactwa, przemysłu i znaczenia politycznego, wychodził nie jeden z drobnego uczeńca (tak nazywano wówczas chłopców warsztatowych) przewędrowawszy obce kraje jako towarzysz (ówczesne nazwanie czeladnika) stopień po stopniu przy pracy i poczciwości na mistrza, mieszczanina, rajcę i dochodził do pierwszych godności nie tylko w mieście, ale przeniósł nie jedno imię rodziny mieszczańskiej w stan szlachecki i magnacki. Nie kuszono się wszakże wiele o to, bo stan mieszczański przy swobodnych i korzystnych stosunkach miasta wystarczał nawet dla najambitniejszych.

Trzebaż bowiem większej chluby i sławy, jak przechować imię swoje dla potomności przez założenie świątyni, która dziś po 400 latach jest żywym świadectwem pięknego charakteru kilku krawców, którzy jej założeniem uwieńczyli swój żywot skromny, a jednak obfity w przygody i rysy godne dziejowej pamięci.

Byłoby prawie w r. 1483, albo może 1487, kiedy w szkole ówczesnej przy kościele św. Ducha utrzymywanej, znajdował się młodzieniec znany prawie całemu miastu pod imieniem Paszka.

Paszko był już chłopakiem pod wąsem, ale nie przestawał uczyć się do szkoły, w której był już raczej podręcznym księdza Rektora szkoły niż uczniem. Używał on wielkiej protekcji u proboszcza św. Ducha zarówno jak u rektora i poruczono mu nadzór nad młodszymi żaczkami.

Paszko był ubogim. Pracowitość jego, pobożność i pokora zjednała mu łaskę przełożonych, dlatego nie potrzebował on walczyć z potrzebami życia. Miał on pomieszkanie i pożywienie w bursie, a jako dobroczynni mieszczaństwo nie zapominali nigdy o ubogich studentach, więc miewał Paszko wraz z innymi nie jeden dom w mieście, gdzie za pozwoleniem rektora w świąteczne dni przychodził i dostawał zasiłek to w jadle, to w odzieniu, nawet czasem w pienią-

dzach. Ksiądz pleban i rektor budowali na Paszku dobre nadzieje i zamierzali z czasem wyjednać mu protekcję i wsparcie kogo z zamożnych i dobroczynnych obywateli, aby mógł wyuczyć się na bakałarza a wreszcie może i na księdza. Już się cieszył w duchu ksiądz pleban św. Ducha, że w Paszku znajdzie kiedyś godnego następcę. W tej to myśli ułatwiał mu przystęp do różnych domów znaczniejszych mieszczan.

Oprawdzał tak z kolei Paszko swoich żaczków, bursistów świętoduskich, po kilku domach mieszczańskich w dniu świąteczne. Wszędzie przyjmowano żaczków dobrze, wszędzie dawano im ciepłą strawę i bułkę chleba, a Paszkowi jako dozorczy ich nadto tu i ówdzie kubek miodu, albo garść suszu. Na Boże Narodzenie dawano kołaczki i pierniki, orzechy i susz, raczono rybką i kutią; na Wielkanoc to już wielki bywał traktament, tak, że żaczkowie mieli na cały tydzień łakoci a Paszko dostawał miodu gąsiorek.

Nigdzie wszelako nie przyjmowano Paszka z żaczkami tak mile, jak u p. Zapala, mistrza krawieckiego, w domu „pod Łabędziem.“ Przyczyną tego było, że Zapalowie nie mieli dzieci prócz jednej córki, dziewczynki mającej wówczas około czternastu lat, bożej i ładnej, ale „delikatnego zdrowia.“ A mieli oni i synka, ale Jaś mając lat 9, znalazł śmierć bardzo nieszczęśliwą; idąc bowiem z rozkazu ojca wieczorem po służącą, która się gdzieś zabawiła, wpadł pociemku w sieni w balijkę z ukropem i wskutek oparzenia umarł. Jaś był kiedyś także żaczkim szkoły świętoduskiej i Paszko ośmielił się raz wspomnieć Zapalinie, że razem z Jasiem do szkoły chodził, razem z nim figle płał żydom i na jednej ławie plagi z nim bierał. Ztąd powzięła Zapalina szczególną przychylność do Paszka i kazała mu przychodzić co Niedzielę, gdy żaczków odprowadzi do domu, przyczem zawsze dobrze się działo Paszkowi, bo zawsze było dla niego coś schowanego z obiadu. Był i Zapala na niego łaskaw i wypytywał go nieraz o rzeczy, o których mu ś. p. Jasio opowiadał, i o księdza plebana i rektora. Nareszcie i czternastoletnia Handzia stojąc skromnie za krzeselkiem matusi naprzeciw Paszka, który zawsze z winem uszanowaniem stojąc u drzwi odwizdiny swoje odbywał, nabrała odwagi, gdy pani matka podstępiała ku szafce, aby dla Paszka z niej co wyjąć, zapytała głosem ledwie słyszalnym:

— Czy Paszko musi się jeszcze uczyć, chociaż już taki duży? albo

— Czy ksiądz rektor bardzo ostry i czy Paszka tak samo karze jak żaczków?

A gdy Paszko te pytania potwierdził i dodał, że owszem jeszcze więcej się uczyć musi i ostrzej bywa karany niż mali żaczkowie, wtedy tak dziwnie się zasmuciła twarzyczka Handzi i takim się okrasila rumieńcem, wymawiając półgębkiem:

— Szkoda, że Paszko nie jest już dorosłym... że zdawało się Paszkowi jakby do niego przemawiał ten anioł, co na obrazie Matki Boskiej w kościele niebieską lilję przed nią trzymał.

W ciągu tygodnia tedy, gdy Paszkowi nie wolno było chodzić po mieście, korzystał on z chwil, w których miał wolność wejść do kościoła i godzinami klęczał przed obrazem Matki Boskiej i patrzył z nabożeństwem w jej wizerunek.

Ksiądz pleban i rektor wzięli z tej wzmagającej się pobożności Paszka tem większy asumpt do sposobienia go na księdza, tymczasem Paszkowi chodziło zamiast modlitwy ciągle tylko po głowie:

— Anioł-Handzia i Handzia-Anioł.

Dziwiło też księdza plebana i rektora, że tej pobożności niewtorowała gorliwość w ćwiczeniach pobożnych w domu, ani w naukach; Paszko bywał roztargniony i zaniedbywał coraz częściej obowiązki tak szkolne, jakoteż i domowe, które mu poruczał rektor, chcąc go zaszczyścić przed innymi — nawet przy mszy świętej służąc księdzu plebanowi odpowiadał Paszko czasem: „ni w pięć ni w dziewięć.“

Strofowano Paszka coraz częściej i karano coraz ostrzej, ale to nie pomagało, tylko tyle, że posmutniał, nie brał udziału w zabawach z żaczkami. Ksiądz pleban zaczął odtąd Paszka regularnie z rana co Niedzielę brać do siebie, pouczać go w rzeczach świętych i brać na egzamen, alisci zawsze okazywał się Paszek nieuważnym, roztargnionym i nieprzygotowanym, a egzamen kończył się rzesistemi plagami. Pomimo tego bywał Paszko zawsze w niedzielę najweselszym i najdłużej zawsze klęczał przed obrazem Matki Boskiej z Aniołem

a potem szedł do Zapalów, do czego miał raz na zawsze pozwolenie wyproszone przez samego pana Zapalę.

Ksiądz pleban i rektor bywali także nieraz w domu Zapalę i nikogo nie przyjmowała Handzia z taką czcią jak tych dwóch gości, co jej też rodzice zawsze zalecali i chwalili.

Niemogli się też ksiądz pleban i rektor dosyć nachwalić skromnej dziewczeczki, a przeciwnie pan Zapala i Zapalina wychwalali przed niemi Paszka, który przyszedłszy, prosił zawsze, aby mu pozwolono odsłużyć czem tyle dobroci, jakiej u Zapalów doznawał. —

Przypisywali rodzice przykładowi dobremu Paszka zmianę w swojej córce, która stała się skrzętniejszą, pracowitszą — a szczególnie skwapliwie pomagała matce pod rękę, gdy przygotowywano świąteczne przyjęcie dla żaczków. —

Handzia była szczęśliwą a matka zadowoloną.

Paszko był niešťęśliwy, bo plebana i rektora gniew coraz bardziej się wzmacniał za jego opuszczanie się i tylko Niedziela wynagradzała go za cały tydzień goryczy. —

Niedziela była dla obojga szczytem szczęścia, którego używali w cichości i pokorze, nie mówiąc prawie nigdy do siebie, bo starszych obecność trzymała język na wodzy — ale rozumiały się ich oczy i serca.

Lecz wkrótce zagroziła okropna zmiana ich szczęściu. (C. d. n.)

wdziwą królewską okazałością pochowana została, przeznaczając oraz miejsce to dla siebie i następców.

Zbudowana jest z ciosowego kamienia w kształcie czworoboku przez architekta Bartholomeo Florentin. — Najpiękniejsza harmonja panuje w całym składzie i we wszystkich jej częściach, a światło padające z góry, niewymowny dla oka sprawuje widok. Wewnątrz zdobią ją posągi, oraz okrągłe płaskorzeźby świętych i ewangelistów z czerwonego marmuru, w kopule mieszczą się herby krajowe, a całą

przeźren wewnętrzných jej ścian okrywa najpracowitsza rzeźba włoska w kamieniu, tej delikatności, jak gdyby w drzewie wykonana była i dowodząca w każdej, nawet najdrobniejszej części niepospolitego smaku i nadwyzyczajnej pilności artysty. — Znajdują się tu opatrzone napisami pomniki pięknej rzeźby Zygmunów, Jagiellonów z czerwonego marmuru, na których spoczywają posągi ich, wielkości naturalnej. W posągu Zygmunta Igo, zmarłego r. 1548, życia lat 80, z których lat 42 na tronie zasiadał, zachowane jest podobieństwo twarzy. — Niezbędny dług mając płacić naturze, zabronił on, aby ciało jego po śmierci otwierano i balsamem napuszczano, lecz raczej żądał, aby martwe zwłoki były wapnem posypane. Niżej pod monumentem ojca, jest pomnik Zygmunta Augusta, syna jego, zmarłego roku 1572 w Knyszynie na Podlasiu, w 52 roku życia, z których 24 panował.

Obok pomników

obu Zygmunów, spostrzega się tron marmurowy, przed którym jest pomnik królowej Anny Jagiellonki, Zygmunta I. córki, a Stefana Batorego małżonki, w Krakowie r. 1596 w 72 roku życia zmarłej.

Ołtarz tu będący otwierany, wewnątrz cały srebrny, wyobraża tajemnice Jezusa Chrystusa i N. P. Marji, a zewnętrzna część malowana na drzewie, mękę Zbawiciela. Nad balustradą, zamykającą tę kaplicę, widzieć się dają starodawnego malowania portrety, w stojących figurach Zygmunta I. i po obu stronach córki jego królowej Anny w sta-



Kaplica Zyguntowska.

Kaplica Zyguntowska.

Kaplica Rorantystów pod tytułem Wniebowzięcia N. Panny Marji — najwspanialsza i najkosztowniejsza w całej Polsce, mosiężną balustradą zamknięta, na której herby Polski, Litwy i medjolański Sforcyów widzieć się dają, powszechnie zwana jest kaplicą królewsko-zygmuntowską lub Jagiellońską. Fundował ją Zygmunt I. w r. 1520 celem umieszczania w grobie pod nią ciała małżonki swej Barbary Zapolskiej, w r. 1515 zmarłej, gdzie w rzeczy samej, z pra-

nie panięńskim, w ubiorze koronacyjnym i wdowim. Nie samą tylko wewnętrzną okazałością kaplica Jagiellońska zadziwia i powierzchowność jej bogata odpowiada świetności wewnętrznej. Kopuła na niej łuską miedzianą grubo złoconą pokryta, na co niezawodnie kilkanaście tysięcy dukatów wyszło. — Na zewnętrznej ścianie tej kaplicy znajduje się szczególnie pięknej rzeźby w kamieniu orzeł jagielloński.

Sypialnia o wschodzie słońca.

(przekład z Wiktora Hugo).

Wdzięcznie się skromna komnatka uśmiecha,
Na starym sprzęcie pęczek kwiatów woni...
Kapłan by ukląkł w tej czystej ustroni,
Kobieta w proggu stanęłaby cicha.

W głębi komnaty świeci łuk alkowy,
W niej spi dzieciątko. Rajskich snów słodczy
Nikt mu nie mąci. W pieczy tajemniczej
Trzyma je jutrzni promień porankowej.

W białej kolebce u posępnej ściany,
Dziecina cicho mróży jasne oczy,
Lecz cóż snów złotych pogodę jej mroczy,
Że się uśmiecha i drzy na przemiany?

Niewinność świeci jej z białego czoła,
Srebrną grzechotkę przytula do łona...
Na ziemi cacko, a palma zielona
W niebie, własnością jest dłoni anioła.

Jak słodko drzemie. Obcy mu szal ziemi,
Pieśni weselne i boleści jęki,
Po srebrnych stopniach snów jego jutrzeńki,
Pną się anieli stopy skrzydlatemi.

I w takt tych wrażeń od chwili do chwili
Drobniuchną rączką z cudnym wdziękiem skinie,
Lekki jak polot wiosennych motyli,
Oddech z ust płynie uspiętej dziecinie.

O! czemże ziemskich blasków majestaty,
Przy świętej grozie porannej godziny,
Gdy na zmrużone oczęta dzieciny,
Bóg sam spoziera przez zorzy szkarlaty!
Wanda z Nelisza.

Słońce i róża.

W ogródku moim, w zieleni,
Różyczka zakwitła biała;
Do słońca listki swe mieni,
W słońcu mi się zakochała.

I mówi eicho do niego:
Ja umrę, umrę bez ciebie,
Bez spojrzenia uschnę Twego,
Zostań, zostań na mem niebie.

Nie tobie w moje błękity:
Latać różyczko kochana,
Nie dla ciebie niebios szczyty,
Łzami rosy zaplakana.

Bo ja krwawe lubię kwiaty,
Które w polu schną bez cieniu,
Które sieje wiatr skrzydlaty,
Na igraszkę zapomnieniu.

Bo ja kocham kwiat żaloby,
Co wspomnieniem mogił żyje,
Cicho jęczy po nad groby,
I w swem łonie przyszłość kryje.

Antoni Socha.

NAD WISŁĄ.

Nad Wisły stoi brzegiem,
Fala stopy jej myje,
A ona patrzy za fali biegiem,
I w białe dłonie twarz kryje.

Czego płaczesz dziewczyno?
Czego łamiesz rączęta?
Fale płyną i giną,
Któraż ciebie pamięta?

Płacę, płacę ja fali,
Bo z nich każda srebrzysta,
Polskiem słońcem się pali,
Polskiem niebem przejrzysta.

Tam w morza głębi fala wyziębi
Słońca polskiego promienie,
I zginą moje przezyste zdroje,
Jak ginie senne wspomnienie.

Antoni Socha.

Gospodarstwo i przemysł.

— Aparat rektyfikacyjny. Pomimo, że tegoroczna wystawa rolnicza warszawska bardzo niegościnnie okazała się dla wyrobów gorzelniczych, niemniej przeto gorzelnictwo na bardzo długo jeszcze pozostanie najliczniejszym przemysłem, najsilniej za pośrednictwem ziemniaków i wywaru z rolnictwem połączonym. Wypada tylko starać się, aby ile można najmniej szło okowity jako trunek między ludność biedniejszą. a natomiast aby jak najwięcej okowity bądź jako czystej okowity, bądź jako araku lub likworów, wychodziło za granicę. Ponieważ zaś okowita, wychodząca z naszych gorzelnicy jest i nie czystą i nie smaczną, przeto dla puszczenia jej w zagraniczny handel, wypada ją poprzednio poddać oczyszczeniu czyli rektyfikacji. Rozmaite są przyrządy do oczyszczania. Obecnie zalecają aparat rektyfikacyjny Dra Savalle syna i spółki; znanym z wystawy tegorocznej paryskiej, na której otrzymał medal złoty. Aparat ten opisuje „Gaz. Przem.” w numerach 90 i 92, do niej więc odsyłamy rolników i mechaników i przemysłowców, a tutaj przywiedziemy tylko zdanie pomienionej gazety o aparacie Savalle'a. Otóż aparat ten nie ma pozostawiać do życzenia, gdyż wydaje rezultaty największe, jakich się można spodziewać, jako to:

Alkoholu najlepszego . . .	96° 90%	na sto
„ niemiłego smaku . . .	94° 7%	„ „
„ „ „ słabego . . .	1°	„ „

Straty czyli pozostałości 2% na 100.

Rektyfikator Savallego produkuje zwykle dziennie 14 okseftów alkoholu czyli spirytusu, wówczas gdy inne rektyfikatory zaledwie 2 oksefty dziennie wydają. Obecnie nawet p. Savalle wyrabia takie rektyfikatory, że dziennie po 24 okseftów wydać będą w stanie. Co jeszcze w tym aparacie cenić należy, to że w stosunku coraz większych wydatków i doskonałości wyrobu, koszta produkcji zmniejszają się o wiele. Aparaty więc te są rzeczywistym postępem w gorzelnictwie, a oprócz tego dają się zastosować do wszystkich rodzajów produkcji najwyborniejszych alkoholów, rumu i tp.

— Wpływ słońca na mąkę. Często się zdarza, że mimo wszelkiej opieczywo pszenne lub żytnie staranności, nie udaje się ono jednak; przypisuje się to oszustwu młynarzy, ujmujących niby mąki, a dosypujących czego innego, albo też niedbalstwu piekarzy. Młynarz składa na zbytnie rozgrzanie kamieni podczas mielenia, piekarz zaś utrzymuje, że słońce zepsuło transportowaną mąkę. Istotnie przekonano się z wielu prób, że jedno i drugie jest prawdą; trzeba strzedz, żeby się kamienie przy mieleniu nie rozgrzewały za nadto, a mąkę przy wożeniu jej strzedz od promieni słonecznych, choćby ukośnych; składać ją zaś trzeba w miejscu ocienionem, gdzie się jednak zagrzać nie powinna. Dla tego przerabianie jej jest pożyteczne.

— Spostrzeżenia, poczynione w czasie wystawy światowej w Paryżu przekonały, że konsumcja piwa znacznie od lat ostatnich tam postąpiła i gdy lat temu 20 napój ten zaledwie z nazwy był znajomy, chociaż przez

Tacyta jako ulubiony napój germanów wzmikowy, to dopiero w ostatnich czasach powszechnie został we Francji używany. Zresztą nie tylko w Paryżu, ale i innych europejskich krajach, jak we Włoszech i Węgrzech piwo bardzo mało było rozpowszechnione. Dziś rzeczy inaczej się mają; piwo zyskało prawo obywatelstwa na północy i na południu, zachodzie i wschodzie Europy. W Paryżu przed laty kilkunastu, nie mógł się ani jeden browar utrzymać, dziś piją tam piwo wszędzie, poczynawszy od najwykwintniejszych restauracyj w Palais Royal, a skończywszy na najordynarniejszych szynkach. Lwów nie ustępuje Paryżowi co się tyczy konsumpcji, tylko wyrób piwa nie znalazł jeszcze mistrza, któryby sprowadzanie piwa z zagranicy uczynił zbytecznym.

— **W Szwajcarii** jak wiadomo zawiązało się Towarzystwo celem wyrabiania ekstraktu z mleka czyli sproszkowanego mleka, tak, że go można bezpiecznie bez wpływu na jego dobroć w dalekie strony przewozić. Ekstrakt ten rozchodzi się po różnych miastach Europy w pudełkach blaszanych, zawierających funt ekstraktu, odpowiadający 463 funtom mleka. Jest on koloru i konsystencji miodu lipcu, smak ma bardzo słodki, rozpuszcza się w wodzie tak zimnej jak i gorącej, i wówczas przybiera smak i woń zagrzanego mleka bardzo dobrego i mocno słodkiego. Mleko to przechowuje się doskonale, można go więc używać z pożytkiem, gdzie brak takowego. Wynałazek ten może i u nas wpłynąć na handel mlekiem okolic górzystych z miastami naszymi, gdzie coraz więcej niedostatek dobrego mleka daje się dostrzegać. Zużywajmy wszelkie źródła dochodu, to nasz obowiązek i konieczność nawet w dzisiejszych ciężkich czasach.

— **Olbrzymia dynia.** W tak zwanych halach centralnych, t. j. na głównym targowisku Paryża, co rok we wrześniu odbywa się koronowanie dyni. Największą dynię czyli banię przybierają we wstążki i kwiaty i obnoszą do koła hali, poczem sprzedają ją przez licytację. Tegoroczny *roi des patrons* był prawdziwym olbrzymem w swoim rodzaju, ważył bowiem 264 1/4 funtów i miał obwód przeszło dwa łokcie i trzy ćwierci. Sprzedanym został ten król dyni za 118 franków.

Pogadanki tygodniowe.

Widowiska teatralne. — Wieloryb w hotelu i w Gazecie Narodowej. — Cyrk Hüttemana i panny Dubskie. — Złota młodzież i jej zdobycze na bruku stołecznego grodu Lwa halickiego i lwów galicyjskich. — Święty Florjan patronem policji i Towarzystwo ubezpieczeń od ognia.

Schöne Helena, schöne Galatea, Orfeus, Wienerleben, Pariserleben w niemieckim; Piękna Galatea, Iskra i t. p. w polskim; Le caporal et la Payse, Le mari dans du coton, La famille Benoiton, Le fils de Giboyer, w francuzkim teatrze, i to na jeden tydzień, w sześciu dniach pracy i siódmym próżnowania albo *vice versa*, to trochę za wiele na Ciebie kochana lwowska publiczności! Kiedy doliczysz do tego wszystkie owe wieloryby, cyrki, panoramy i inne bardzo pouczające rzeczy, któremi cię raczą troskliwi o światło twojego rozumu i proporcjonalną otyłość twoich kieszeni cywilizatorowie germańscy, zapytujesz sama siebie, czy to przypadkiem nie za wiele tej troskliwości nieproszonej?

Tak, to nieco za wielki ciężar na twoje z zapadłemi boczka mi kieszonki, jeszcze nie oschłe z tegorocznej powodzi, wygłodzone kilkoletnim nieurodzajem, wyduszone również pięknymi widokami na przeszły i przyszły stan finansów cislitawskich, zawsze spoglądających rzewnie w niewyczerpane głębi twoich, zdawałoby się bezdennych otworów.

To pono za wiele! powiada głodny literat, smutnie przypatrujący się owocom kilkoletniej mozolnej pracy, porastającej pełnią na pulkach księgarskich.

Tego już za wiele! zazgrzyta chorobliwie jeniały artysta, wpatrujący się z upodobaniem w swoje arcydzieło, poczęte pod wrażeniem krwawych epizodów wojny narodowej, a niewykończony aż może kiedyś w przededniu śmierci, dla braku kilku nędznych denarów, któreby mu zbywały od najpośledniejszych potrzeb codziennego żywota.

To już przewyższa moje siły! westchnie z głębi piersi sprawowany akademik, wyczekujący już rok drugi o suchym kawałku chleba bratniej pomocy, którą marzył w snach swoich w postaci kilkunastu papierowych reuszcaków, mających mu posłużyć do zakupienia ciepłej burki, podobniusienskiej do tych, po ropeczyckich krakusach, jakimi widzi przystrojonych fikajków, a która po obudzeniu przedstawia mu się w postaci kilkustopniowego mrozu, oddającego mu uprzejmie dzień dobry, dobre południe i dobranoc w bładnej izdebce pierwszego piętra pod niebem.

To już mnie zaczyna nudzić! zasyczy zadąsany kronikarz pewnej Gazety, gdy mu jego szanowny principal przynosi świeży anonis i komiczny opis wieloryba, goszczącego w hotelu pod „żelazną koleją“, i każe na urząd wypalić dowiep przeciw drukarzowi, który ma to nieszczęście drukować zarazem i nienawistny tej Gazecie dziennik.

Lecz cóż począć, rad nie rad p. kronikarz klnie w duszy principała, dziennik i nieproszonego gościa wieloryba i wprowadza go ostentacyjnie w szpalty „Gazety“, a niemogąc po koniu smaga po chołoblach.

A to już potrzeba świętej cierpliwości! rozruca się rozgrymaszony kronikarz „Tygodnika lwowskiego“, gdy mu usłużny maszynista drukarski popisując się ze swoim talentem, przynosi sążnisty afisz z ogromnym słoniem, trzema chińczykami i dwoma spinającymi dęba końmi, na których z gracją siedzą panny Dubskie!

Ale dajmy już pokój cyrkowi Hüttemana, jego słoniom, koniom, czeskim chińczykom i pannom Dubskim i przejdźmy od nich wprost do złotej młodzieży.

Lwów nasz pod każdym względem nie daje się wyprzedzić innym stolicom tego padole płaczu, który pospolicie nazywają Polską. Lwów nasz nie raz to pierwszy zamierzał naśladować Warszawę, lecz próby te wypadły zwykle tak pociesznie, czasami nawet tak po arlekińsku, że zastanowiwszy się nad sobą, zdecydował się raz na zawsze zaniechać tych eksperymentów, kompromitujących wyższość galicyjską i postanowił naśladować raczej wszystko: Wiedeń, Konstantynopol, Pekin, Bombaj, Honolulu, Gapistan, Paflagonję nawet, byle Warszawy nie naśladować. I było nam z tem dobrze! Byliśmy wszystkim, wszystkim tylko o nie Polakami! Aż oto dziś znów synowie szlachty, tej starej galicyjskiej szlachty, co to z karabelą w pochwie przypatrywała się rozbirowi Polski, i na tę pamiątkę do dziś dnia ją nosi, tej szlachty, co to sercem i głową przyłgnęła do ojczyznej skiby i zdrzemnęła na niej tak twardo, i spała tak długo, i śniła tak lubo, a sny jej były tak błogie, tak uroczne, jak uroczeni są siedmio i dziewięć pałkowe korony baronów i grafów austriackich, jak rozkosznym musiał być sen Jonasza w brzuchu wieloryba, którego kości tu do nas zawiąły, lub wreszcie jak powabnym jest dla nas „Czas“ krakowski gdy przygania lwowskiej „Narodówce“, a sam smoli, przeświadczać nas zarazem, iż można dorzecznie pisać, ale niedorzecznie przekręcać to, czego się rozumieć nie chce; synowie tej samej szlachty, co przestawszy być głową narodu, stała się jego półgłówkiem, postanowili jeszcze raz naśladować Warszawę, a naśladować ją z najpiękniejszej strony t. j.: ze strony, którą tak udatnie nastroją Moskale, grając narodowi naszemu na kozackiej bałabajce! Stroną tą dzwiczną jest złota młodzież!

Złota młodzież lwowska nie może być pierwowzorem, a więc musi być kopją, i to nędzną kopją. Nie może ona mieć tyle pieniędzy do stracenia, ile ich mieć mogą markizy, grafy i bankierzy warszawscy, więc musi poprzestać na setkach, wyduszanych od miszurisów, lub straciwszy u tych dobroczyńców cierpiącej ludzkości kredyt... od kołtunów i innego pospolitego narodu tandetnego pochodzenia. Tej naszej złotej młodzieży dają się czuć jeszcze większe braki: brak jej Loursa, hotelu europejskiego, Bednarskiej ulicy z jej szlachetnymi zakładami, baletu, a nakoniec dobrego gustu, szyku paryzkiego i bardzo wielu innych niemniej ważnych przymiotów, wyszczególniających lwów warszawskich. Ale od czegoż spryt i jenzus galicyjski? Dobry smak zastępuje wygodnie niedokwas wiedeński, Manjery paryskie knajpomanja, balet i ulięc bednarską wysmięnicie zastąpi opera niemiecka i jej gwiazda: Fiszerka i tem podobne, a po godz. 12tej szlachetne zakłady kawiarniane na ulicach Ormiańskiej, Dykasterjalnej, Krakowskiej i Dominikańskiej, tak głośno pieszczą swoich bohaterów, że częstokroć, gdy Cię późna godzina przypędzi z dalekich stron wędrowcze do Lwowa, a zła gwiazda lub gburowaty fikajker powiedzie na jedną z tych ulic, dostrzeżesz wychylające się głowy na półsennych pracowitych mieszkańców — osiadłych w wyższych piątrach kamienic, — spoglądające błagalnym okiem na stróżów bezpieczeństwa poważnie kroczących po ulicach grodu Lwa halickiego, czyby się nie zmiłowali nad nadwierzonymi ich bębenkami w uszach i nie zabezpieczyli im spokojnego spoczynku, zaproszeniem tych lwów galicyjskich pod godło św. Florjana.

— A toż co nowego?... zapytasz oburzony czytelniku, pieczętujący swoje urzędowe papiery wyobrażeniem tego świętego, jeżeli jesteś delegatem krakowskiego Towarzystwa ubezpieczeń od ognia.

— Aha! złapałem Cię stary galilejczyku, któremu nieraz zdarzyło się być w stolicy twojej ojczyzny, że nie wiesz nawet, iż św. Florjan nie tylko strzeże Towarzystwa ubezpieczeń od ognia, ale czuwa i nad lwowską dyrekcją policji, okazale zdobiąc fronton jej gmachu.

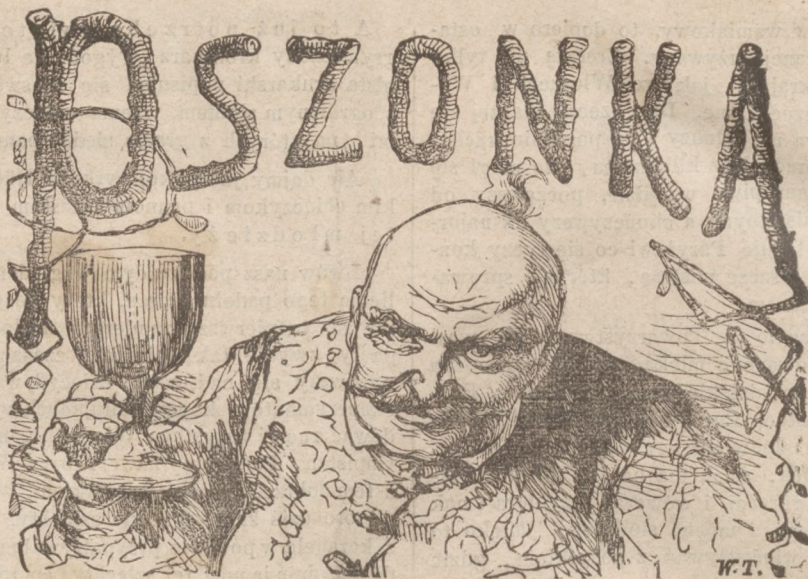
— No, nie wtem wprawdzie niema dziwnego, policja jest także towarzystwem ubezpieczeń od ognia, ale od takiego ognia, od jakiego towarzystwo krakowskie nie asekuruje, choć czasami się zdarza, że i to Towarzystwo dokonywa rzeczy, o których się ani śniło filozofom. — Oto na przykład — rok dopiero temu jak widzieliśmy, że zaasekurowało cały korpus krakusów za 5.000 złr. walutą austr., a zaasekurowało tak szczęśliwie, że żaden z tych bohaterów nie spłonął z zapалу patriotycznego i niejeden z nich, dzięki zapewne tej asekuracji, zachowawszy zdrowe i ezerstwe siły, wzmacnia dzisiaj szeregi złotej młodzieży — i niejeden z nich, syłsławy i zaszczytów, niezawodnie złoży uwieńczoną kiedyś skroń laurami zwycięstw zdobytymi na bruku lwowskim, i wypocznie spokojnie po trudach życia w jednej z instytucji krajowych pod godłem Śgo Florjana tu lub tam — czego im wtej drugiej z całego serca życzymy, co dał Boże — Amen.

C. Goworowski.

Złota kronika lwowska

Poniedziałek, Wtorek, Środa
Warzyć wodę — będzie woda
Czwartek, Piątek i Sobota
Co po enocie gdy bez złota!
Złoto dobre i w Niedzielę,
Gdy trzos pełny i w kościele
Człek goręcej modli Pana,
By tam jaka niespodziana
Moralistów rzesza czuła
Złotka twego nie poczuła. —
Złoto! złoto!.. w to mi graj!..
Złota młodzież... to mi raj!

A gdy idziem w cyrk,
Dubskie na nas zyrk,
I od nocy znów do rana.
Złota młodzież ukochana:
Za kulisy myrk.
Za kulisy w Niemek gronie,
Miłość kraju żywiej plonie,
Boć człowiek nie wilk,
Ani poseł z gmin
Lecz szlachecki syn!
Lecz szlachecki syn!



i rzeszowska.

Rada familijna.

Było to we wrześniu roku pańskiego,
Tysiąc ośmset sześćdziesiąt siódmego;
Gdy wybrano Radę w Pacanowie,
Dla powiatu, który się tak zowie.

Jednak błdzi,
Kto tak sądzi:
Ze instytucja nowa,
Jest Rada powiatowa?
Gdzież panowie!
W Pacanowie
Szlachta w braty.
Kumy, swaty,
Szwagry, wuję;
Obraduje! —
Po kadzieli
Się ujeli,
A po mieczu;
Obosieczu,
Jak nawykli,
Tak się spikli,
Aż dopięli,
Czego chcieli —

Bo w ką poszła zasada elekeyjna
Wybrana rada, jest — familijna!

Rożmówki.

— Powracam z Wiednia.
— I cóż tam słycać?
— Coraz bardziej tracę wiarę w politykę Austrii.
— O to źle, bo Austrija znów gotowa zaciągnąć świeżą pożyczkę, ażeby zyskać nowych wierzycieli.

— Czyś słycał, że p. Herbst jak tylko zostanie ministrem oświaty, ma zaproponować Radzie Państwa, ażeby w interesie centralizacji, w szkołach galicyjskich rozkazala zamiast powiększenia godzin polskiego języka wprowadzić godziny gimnastyki.

— A to na kiego licha?
— Wszak wiesz mój kochany, że gimnastyka wzmacnia całe ciało, a zatem i żołądek, a leży to w interesie centralistów, ażeby naród nasz miał jak najstrawniejsze żołądki.

— Czy wiesz, że baron Beust przemieni się wkrótce w baranka.
— A to w jaki sposób?
— Gdyż dostanie, jak mówią, złote runo.

Konkurs.

Gdy wedle propozycji wiedeńskiej Izby panów czarne gabinety funkcjonować mają, ilekroć powstanie niebezpieczeństwo wojny, a jak się dowiadujemy z wiedeńskiego „Figara,” niebezpieczeństwo to trwa każdego czasu, przeto niżej podpisani rozpisyją niniejszem konkurs na wynalezienie laku pocztowego.

Gucio: Monszereiu! lecz ja go dopiero dowcipnie ukaszę!

Florek: Bój się Boga! nie kasaj, patrz jak mój Mucus jest ukaranym za kąsanie.



trwałego, ofiarując szlachetnemu wynalazcy dobrodziejstwa słu konstituji, gwarantującego tajemnicę listową. Oferty konkurujących przyjmują się codziennie w czarnym gabinecie Pszonki.

Babin d. NN. r. I. panowania Pszonki.
Podpisano: *Korespondenci i adresanci.*

Nowiny z kraju i zagranicy.

Ryczybyk dnia NN. r. b.

W połączonych królestwach Gapistanu, Paflagonji wraz z Wielkim Księstwem Bawolim, Głodomorem i Ciemnogrodem, król Jego Mość szczęśliwie nam panujący — który jak wiadomo posiada na równi z carem tatarskim wyłączny przywilej oficjalnego patriotyzmu i sam jeden powołany jest od Boga do troskania się o dobro wszystkich Paflagończyków, Gapistańczyków i wielu innych ludów jego berłu podległych, srode dotknięty zuchwałstwem kilku mal-kontentów, którzy bez jego wiedzy usiłowali okazać czyn patriotyczny przez urządzenie igrzysk na korzyść braci swojej powracającej z niewoli babilońskiej, zabronił takowych.

Gdy jednak zuchwały jeden dziennik krajowy ośmielił się podać to do publicznej wiadomości, król Jegomość niechęć uchodzić w oczach Paflagonji i Gapistanu za nieliberalnego, polecił swojemu ministrowi policji udzielić owemu dziennikowi tej treści:

Sprostowanie:

„Rząd mój igrzysk patriotycznych bynajmniej nie zabraniał, lecz policja wprawdzie ich z królewskiego rozkazu nie dozwoliła...”

Dan w Ryczybyku mojem stołecznem Narodowem grodzie

podpisano *Król m. p.*

Ostatnie wiadomości.

Z Pekinu donoszą nam, że tak w roku bieżącym jak lat dawnych przedłożono chińskiej radzie budżet na rok przyszły z tem zastrzeżeniem, ażeby go przyjęła bez zmiany, gdyż tak sobie życzą narody w tej radzie zastąpione, a więcej jeszcze nie zastąpione.

Z Wiednia. Delegacja polska stanowczo opuszcza Radę państwa i powraca do kraju... na święta, wioząc dla nas na gwiazdkę następujące podarunki, ofiarowane jej przez Niemców:

1. **Autonomiją**, akwarelę, w duże czornych ramach, ozdobioną beustówkami, na tle słowianożerczem.

2. **Obiecanki ministerjalne**, album fotografowane wiedeńskie, ozdobione popiersiami Kaunitza, Metternicha, Bacha, Schmerlinga, Mensdorfa i Beusta.

3. i 4. Języki wykładowe:

a) **ruski**, obrazek przedstawiający scenę z życia parlamentarnego, jak Guszalewicz pokazuje naszej delegacji język, kiedy ta przegłosowana przez Niemców, przepada ze wszystkimi swojemi poprawkami.

b) **polski**, szkic zdjęty z natury życia politycznego w Galicji, w którym uchwycony jest uroczy moment, kiedy delegacja zaspokaja naród, upominający się jej o zdobycze autonomiczne, pokazaniem języków.

5. **Rada szkolna**, obrazek mglisty w ramach centralistycznych, zawieszony na kołku prowizorycznym.

6. **Minister w konturach** w stroju syndyka bernardyńskiego, obserwujący z wiedeńskiej wieży warjatów zaćmienienie kauclesterstwa, przez flaszkę lańcuckiej wódki.

SPIS PRZEDMIOTÓW:

Czajkowski Michał Sadyk Pasza, c. d. (z ryciną, przedstawiającą kozaków Dobrudzkich, Nekrasowców i Starowierców). — Urywek z czyjegoś pamiętnika przez T. T. Jęca (dokończenie). — Kościół św. Anny, podanie mieszczańskie przez K. Widmana. — Kaplica Zyguntowska w Krakowie (z ryciną). — Poezje, przez Antoniego Sochę i Wandę z Nielisza. — Gospodarstwo i przemysł. — Pogadanki tygodniowe przez C. Goworowskiego i Pszonka.